

4. WSPOMNIENIA Z MAIDSTONE I NEWMARKET

4. WSPOMNIENIA Z MAIDSTONE I NEWMARKET

Pierwszą szkołą, do której zaczął uczęszczać Spurgeon była szkoła „Old Mrs. Burleigh” w Stambourne. Gdy Spurgeon wrócił do rodziców mieszkał w Colchester, chodził do szkoły Mrs. Cooks. Gdy ukończył 10 lat zaczął chodzić do szkoły Stockwell House należącej do jednej z najlepszych szkół średniej klasy społecznej. Pan Leeding bardzo zdolny nauczyciel, który nauczał podstawowych przedmiotów oraz matematyki miał duży wpływ na rozwój dzieci. Spurgeon oraz niektórzy chłopcy mieszkali zbyt daleko od szkoły, aby podczas przerwy obiadowej móc zjeść obiad w domu. Uczniowie zabierali więc ze sobą jedzenie do szkoły i jedli wspólnie. Mieli taki zwyczaj, że podczas wspólnego jedzenia przeglądali książki z kawałami, łamigłówkami i anegdotkami. „Co za ubaw wtedy mieliśmy, gdy ktoś nie raz się zakrztusił bo próbował jednocześnie i jeść i śmiać się.” W roku 1843 wysłano Spurgeona oraz jego brata Jamesa do szkoły z internatem w Maidstone. Mało wiemy z życia Spurgeona z tego czasu. W późniejszych latach, kiedy głosił Słowo, często wracał do swych przeżyć z młodości, które służyły mu jako obraz. Gdy Spurgeon głosił kiedyś kazanie na podstawie wersetu z Ew. Jana 17,24: „Ojciec chcę, aby ci których mi dałeś...”, przytoczył taki przykład: „Dziecko może chętnie przebywać w szkole, ale pomimo to z utęsknieniem czeka na ferie. Czy dla tego, że nie chce już chodzić na lekcje? Nie. Spytaj się go, a zobaczysz co ci odpowie: „chcę do domu, do mojego ojca.” Przez dłuższy czas byłem jednym z przodujących w klasie i usilnie starałem się, aby utrzymać tę pozycję. Tylko jeden raz zgodziłem się na to, aby tę pozycję utracić. Wtedy nie siedziałem już wśród najlepszych, ale wśród najgorszych w klasie. Nauczyciel zobaczył wielką zmianę i nie potrafił tego zrozumieć, aż wreszcie zauważył, że zmiana ta nastąpiła świadomie. Przyczyną tego, dlaczego stałem się jednym z najgorzej uczących się uczniów w klasie, było to, że najlepsi w klasie siedzieli zawsze z przodu naprzeciwko drzwi, z których ciągle wiało, a najgorsi z tyłu koło pieca, bardzo przytulnym i ciepłym miejscem. Potem nauczyciel poprzesał uczniów i nie potrwało to długo, gdy znów zasiadłem na zaszczytnym miejscu, tym razem z tyłu klasy koło ciepłego pieca. Gdy miałem 14 lat, zostałem posłany do szkoły należącej do kościoła anglikańskiego. Było to w Maidstone. Szkoła ta dziś nosi nazwę St. Augustin Collage. Trzech duchownych nauczycieli uczyło w niej na zmiany. Jednak nie potrafili oni za dużo przekazać swoim uczniom. Jestem pewien, że mieli znacznie mniejsze pojęcie o Biblii niż dzieci uczęszczające do naszych wiejskich szkół. Jeden z nich sprawiał wrażenie dobrego człowieka. To jemu zawdzięczam promień światła, który rozjaśnił mi pojęcie, na czym polegał chrzest wiary. Któregoś dnia, kiedy omawialiśmy katechizm kościoła anglikańskiego rozwinęła się następująca rozmowa:

Duchowny: "Jak ci na imię?"

Spurgeon: "Nazywam się Spurgeon."

Duchowny: "Nie wygłupiaj się, przecież wiesz o co mi chodzi."

Spurgeon: "Charles Spurgeon."

Duchowny: "Wiesz przecież, że chodzi mi o imię, jakie dostałeś na chrzcie."

Spurgeon: "Przepraszam bardzo, ale obawiam się, że nie dostałem żadnego." Duchowny: "Ale dlaczego? Jak to możliwe?"

Spurgeon: "Ponieważ nie wierzę, że jestem chrześcijaninem."

Duchowny: "No to kim jesteś? Poganinem?"

Spurgeon: "Nie, ale może tak być, że nie należymy do pogan i nie żyjemy też dzięki łasce Bożej, a więc nie jesteśmy prawdziwymi chrześcijanami."

Duchowny: "No dobrze, nic się nie stało. No to jak ci na imię?"

Spurgeon: "Charles."

Duchowny: "Kto nadał ci to imię?"

Spurgeon: "Tak naprawdę to nie wiem dokładnie. Nie znam żadnych chrzestnych, którzy by dla mnie coś czynili, a więc z pewnością ich nie mam. Myślę, że nazwali mnie tak moi rodzice. To przecież oczywiste."

Duchowny: "Widzę, że klasa ma niezły ubaw. Jeśli by było to takie oczywiste, to bym cię wcale nie pytał."

Nauczyciel ten darzył mnie jednak szacunkiem. Otrzymałem kiedyś od niego książkę, jako nagrodę za szczególne zdolności w religii. Książka ta oprawiona była w skórę i miała tytuł "Kościelny rok". Kiedy dalej omawialiśmy ten katechizm, to nauczyciel obrócił się nagle do mnie i rzekł:

„Ale Spurgeon, ty to tak naprawdę nie zostałeś prawidłowo ochrzczony.”

„Ależ oczywiście że tak, proszę pana! Mój dziadek ochrzcił mnie w naszym małym pokoiku, a on jest przecież pastorem, więc z pewnością zrobił to tak, jak się należy.”

Duchowny: "Ale wtedy przecież nie wierzyłeś i nie pokutowałeś, więc nie mogłeś zostać ochrzczony."

Spurgeon: "Ale dlaczego, a co to ma wspólnego z chrztem. Przecież chrzci się wszystkie małe dzieci."

Duchowny: "Skąd ta pewność? Przecież z w katechizmie jest napisane, żeby ktoś został ochrzczony potrzebne jest najpierw wyznanie wiary i pokuta. To jest nauka Biblijna, której przecież zaprzeczyć nie można."

Mówiąc o tym, nauczyciel pokazał w Biblii, że najpierw musi być wiara, a potem chrzest - "przecież to takie proste" dodał.

Duchowny: "Takie będzie twoje zadanie domowe, masz na to tydzień czasu. Wyszukaj w Biblii wersety i udowodnij mi, że tak nie jest."

Byłem pewny mego zwycięstwa, ponieważ myślałem, że ta ceremonia, którą praktykował mój dziadek i mój ojciec jest prawdziwa. Jednak udowodnić tego nie potrafiłem. Jakże czułem się pokonany. Nie wiedziałem jak sobie z tym poradzić. Duchowny: "No i co Charles, zmieniłeś zdanie?"

Spurgeon: "Myślę, że pan miał rację, co do tego, że najpierw trzeba uwierzyć i pokutować, a ten mój chrzest nie był prawidłowy, ale to się dotyczy również i pana."

Duchowny: "Pozwól, że ci coś wytłumaczę. No właśnie i dlatego musimy mieć rodziców chrzestnych. Bez wiary nie miałbyś prawa przyjąć chrztu. No i kościół uznał, że rodzice chrzestni mogą dokonać wyznania wiary za ciebie. Z pewnością twemu tacie nie raz się zdarzyło, że zabrakło mu pieniędzy i został zmuszony do zaciągnięcia kredytu, który musiał mieć pokrycie w papierach obligacyjnych. Dokument taki przyjmowany jest na zastępstwo za zapłatę, i jeśli ktoś jest porządnym człowiekiem i godnym zaufania, wtedy jest duże prawdopodobieństwo, że w określonym czasie wykupi obligacje spłacając tym samym dług. Podobnie ma się sprawa z rodzicami chrzestnymi. Ponieważ są porządnymi ludźmi, więc akceptuje się to, że dotrzymają obietnicy względem dziecka. Ponieważ w tym czasie chrzczone dziecko nie posiada wiary, więc akceptuje się wyznanie chrzestnych połączone z obietnicą, że dotrzymają obietnicy i dziecko w swoim czasie uwierzy."

S: "Myślę, że to są bardzo złe obligacje."

D: "Słuchaj, nie mam czasu z tobą dłużej na ten temat dyskutować. Według mnie, to dobra rzecz. Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Jak myślisz, kto ma rację? Ja - jako człowiek kościoła, czy twój dziadek - odstępcą od kościoła? Dziadek twój chrzci niezgodnie ze Słowem Bożym, czego ja, jak mi się wydaje, nie czynię. Ja wymagam składania wyznania wiary i jej potwierdzenia w późniejszym czasie w sakramencie bierzmowania."

S: "Może pana sposób jest nieco lepszy niż dziadka, ale prawda jest taka, że zarówno pan jak i dziadek - obaj jesteście w błędzie. Czy ludzie nie powinni sami najpierw uwierzyć, a potem się ochrzcić? Chociaż z wielkim szacunkiem i powagą obchodzicie się ze swoimi Bibliami, to jednak zblądziliście."

D: "A więc zgadzasz się z tym, że zostałeś nieprawidłowo ochrzczony? Gdybyś miał być jeszcze raz ochrzczony, to zatroszczyłbyś się o to, aby mieć chrzestnych, którzy za ciebie wyznaliby wiarę?"

S: "O nie! Pierwszy raz zostałem ochrzczony, wtedy kiedy nie powinienem być ochrzczony, drugi raz, zostanę ochrzczony wtedy, kiedy będę na to gotowy."

Duchowny, uśmiechając się, rzekł: "Nie zgadzam się z tobą, ale widzę, że chcesz uchwycić się Słowa Bożego. Szukaj w nim swojego serca i Bożego prowadzenia, a będziesz odkrywał prawdę za prawdą. Wtedy zmieni się twoje przekonanie, które tak mocno się w tobie zakorzeniło."

W czerwcu 1889 roku Spurgeon odwiedził na krótko miasto Maidstone. Wspomnił o tym w sobotnim wieczornym kazaniu w "Church Tabernacle" po przyjeździe do Kent. Głosił tam na podstawie 17 wersetu z 71 Psalmu mniej więcej tak: "Tydzień temu odwiedziłem Maidstone należące do hrabstwa Kent, dokładnie było to 40 lat temu, jak opuściłem tamtejszy Collage. Miałem wielkie pragnienie w sercu, aby pojechać w miejsce, gdzie rośnie pewne drzewo nad rzeką Medway. Pod tym drzewem spędzałem całe dnie, a nieraz i tygodnie, siedząc i czytając. Nawet podczas trwania roku szkolnego. Mój nauczyciel był tego zdania, że większe postępy osiągnę siedząc tam i czytając, a niżeli w klasie. Był mądrym człowiekiem. Pamiętam, jak dał mi książkę i zostawił mnie z nią sam na sam. Gdy tak stałem pod tym drzewem, wpatrzony w wolno płynący nurt rzeki, dziękowałem Bogu, za każdy rok okazanej mi łaski z pośród tych wszystkich czterdziestu lat, jakie od tamtej pory upłynęły. Wtedy razem z psalmistą mogłem powiedzieć te słowa: "Boże uczyłeś mnie od młodości mojej, a ja aż dotąd oznajmiam cudowne sprawy Twoje". O jakże pragnę tego, aby Bóg dał, by młodzi ludzie, którzy akurat ukończyli szkołę, zarówno dziewczęta jak i chłopcy

poświęcili trochę więcej czasu, aby w cichości i świętości pomyśleć o przyszłości. O tym, komu chcieliby służyć i o tym, kto powinien zostać ich nauczycielem, kogo oni powinni uczyć, no i w ogóle dokąd zmierzają, co jest ich celem. Stojąc tam pod drzewem, nie mogłem nic innego, jak tylko dziękować Bogu, że krótko po tym jak opuściłem szkołę, poprowadził mnie do Jezusa Chrystusa, obdarzył mnie pokojem i życiem wiecznym. Dziękowałem, że mogłem przez 12 miesięcy chodzić do tej szkoły, która akurat należała do kościoła anglikańskiego. Od kościoła anglikańskiego nic nie wzięłem, przyczynił się on jedynie tylko do tego, że nastąpił punkt zwrotny w moim życiu i ta rzeczywistość przyczyniła się do tego, że teraz jestem tutaj. W Katechizmie Kościoła znajdowało się to pytanie: "Czego oczekuje się od ludzi, aby mogli być ochrzczeni", a odpowiedzią, której się nauczyłem była: "Pokuta, żal za grzechy oraz wiara w obietnice dane nam od Boga."

Szukałem w Biblii i znalazłem, że musi być najpierw wiara i pokuta, potem chrzest. Naturalnie to, że zostałem chrześcijaninem i baptystą w pewnym stopniu zawdzięczałem katechizmowi kościoła anglikańskiego. Ponieważ wychowywany byłem przez Kongregacjonalistów i nigdy bym sobie nie zadał takiego pytania. Zostałem ochrzczony jako dziecko i na tym by się zakończyło. Jak dowiedziałem się, że prawdziwy chrzest poprzedza wyznanie wiary i pokuta, to sam doszedłem do tego wniosku, że nie zostałem tak naprawdę ochrzczony. O jakże bardzo myli się ten, który myśli, że pokropienie małego dziecka wodą jest prawdziwym chrztem. Tak sobie pomyślałem, że jeżeli Bogu się to podoba, to i ja uwierzę i dam się ochrzcić. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy oprócz mnie był jeszcze ktoś, kto myślał podobnie jak ja, czy tylko ja sam jestem, na całym świecie, który tak myśli.

O baptystach w tym czasie mało się mówiło, przynajmniej ja wtedy nic o nich nie wiedziałem. Zatem katechizm kościelny zaprowadził mnie tam, gdzie nigdy zaprowadzić nie miał zamiaru, mianowicie do nauki opierającej się na Słowie Bożym, która mówi wyraźnie, że najpierw musisz uwierzyć, a potem się ochrzcić.

Nauczyciel młodego nauczyciela.

Pierwsze nauki teologii pobierałem od starszej kobiety. Była ona kucharką w szkole Newmarket, w której ja pracowałem jako pomocnik nauczyciela. To była dobra dusza. Regularnie czytała, ukazujące się co miesiąc, czasopismo "THE GOSPEL STANDARD", którego zadaniem było zwalczanie religii i innych religijnych nieprawidłowości. Ta kobieta wiedziała co dobre, rozkoszowała się słodyczami - uwielbiała dobrą, klarowną kalwinistyczną naukę. Jeśli chodziło o gotowanie, to wołała coś na ostro. Często rozmawialiśmy na tematy: czym jest przymierze łaski, wybranie świętych i jedność Chrystusowa. O wytrwaniu, aż do końca i prawdziwej pobożności. Od niej dowiedziałem się więcej, niż od sześciu doktorów teologii obecnych czasów.

Są chrześcijanie, którzy głęboko w swych duszach żyją swoją wiarą, widzą ją i smakują. Ci otrzymają głębokie poznanie, im zostaje więcej objawione. Tego nie znajdziesz w żadnych książkach, choćbyś ich przeczytał nie wiadomo ile. Zauważyłem, że jeśli chodziło o Boże sprawy, to pani kucharka z Newmarket

była bardzo doświadczoną osobą. Od niej mogłem się więcej nauczyć, niż od naszego pastora w kościele, do którego oboje chodziliśmy. Spytałem się jej któregoś dnia: " Czemu ty jeszcze chodzisz do tego zboru?" Odpowiedziała: "Ponieważ nie znalazłam innego miejsca, do którego mogłabym chodzić na zgromadzenia".

Powiedziałem: "To przecież już lepiej zostać w domu, niż tracić czas na wysłuchiwanie takich bzdur." "Może i lepiej" – powiedziała - "ale ja chętnie idę do domu Bożego, nawet jeśli tam nic nie otrzymam. Popatrz na kury, że one nieustannie grzebią. Rozgrzebują ziemię w nadziei, że znajdą choćby jedno ziarno. Oczywiście często nic nie znajdują, ale nie rezygnują, grzebią dalej i szukają, w ten sposób doskonałą swoje narzędzia pracy w nadziei, że to im pomoże szybciej coś znaleźć.

A to szukanie rozgrzewa je."

Gdy jej tak słuchałem rozumiałem, że to jej grzebanie i szukanie w tych nędznych kazaniach, z nadzieją, że znajdzie jakieś ziarenko, szkoliło jej duchowe umiejętności i rozgrzewało jej ducha.

Innym razem, po tym jak wysłuchaliśmy pewnego kazania, powiedziałem jej, że ja dzisiaj nic nie znalazłem ani jednego okrucia i zapytałem, czy z nią jest podobnie. "Ach" – westchnęła mówiąc - "Dzisiaj poszło mi troszkę lepiej. Zrobiłam tak, wszystko co kaznodzieja dzisiaj głosił, obróciłam w przeciwieństwo i wtedy stało się jego kazanie prawdziwą ewangelią."